

## ARTYKUŁY RECENZYJNE I RECENZJE

**Halina Parafianowicz**

Białystok

### Jeszcze raz o historii Stanów Zjednoczonych

Ostatnie lata, także na gruncie polskim, obfitują w publikacje o historii Stanów Zjednoczonych, prezydenturze amerykańskiej i polityce zagranicznej. Ukazują się też tłumaczenia syntetycznych i podręcznikowych prac amerykańskich historyków, m.in. *Historia Stanów Zjednoczonych* autorstwa George’a Browna Tindalla i Davida E. Shi, Poznań 2002, co świadczy o zainteresowaniu powyższą tematyką i zapotrzebowaniu na takie publikacje.

Dobrze się stało, że historiografia polska wzbogaciła się o pracę Krzysztofa Michałka<sup>1</sup>, która nie tylko może stanąć do tej konkurencji, ale ją wygrać. Jej Autora nie trzeba specjalnie przedstawiać, bowiem ten wybitny historyk, amerykanista jest doskonale znany nie tylko profesjonalistom, ale i szerszym kręgom opinii publicznej jako ekspert, dyskutant i komentator w sprawach amerykańskich. Profesor Michałek od lat zabiera głos na ten temat, a jego wcześniejsze publikacje dotyczące historii Stanów Zjednoczonych cieszyły się uznaniem nie tylko historyków, ale także wielką popularnością szerokiego grona czytelników (o czym świadczyły kolejne wydania i wznowienia tych prac).

Najnowsza książka Krzysztofa Michałka, jak zapowiada tytuł, dotyczy historii Stanów Zjednoczonych w XX w., który już znacznie wcześniej został okrzyknięty i uznany za „amerykańskie stulecie”. Jest to praca potrzebna i ważna, z której będą korzystać liczni czytelnicy znajdujący w niej ogrom użytecznych informacji i wiedzy. Z pewnością też wielu z nich skłoni do refleksji i przemyśleń, a innych zainspiruje do nowych poszukiwań badawczych.

Już we wstępie Autor w klarowny sposób przedstawił racje przemawiające za napisaniem tej książki i jej cezurami chronologicznymi. Sam układ pracy jest również przejrzysty i logiczny, a ujęcie chronologiczno–problemowe pozwoliło na pokazanie procesów i zmian w amerykańskiej polityce wewnętrznej, także zagranicznej. Autor bardzo konsekwentnie przedstawia życie społeczne, gospodarcze i polityczne Stanów Zjednoczonych w poszczególnych okresach oraz ich miejsce i rolę w polityce światowej w XX w. W atrakcyjnych, i adekwatnych do tytułów, kolejnych 26 rozdziałach doprowadził narrację do tragicznych wydarzeń 11 IX 2001 r. Jak pisze (s. 4–5), miał wątpliwości, czy to zrobić, ale podjął to ryzyko i moim zdaniem, osiągnął znako-

---

<sup>1</sup> Krzysztof Michałek, *Amerykańskie stulecie. Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki, 1900–2001*, Warszawa 2004, s. 822.

mity rezultat. Jest to dodatkowy walor tej książki, a włączenie do rozważań 2001 r., spina klamrą niejako minione „amerykańskie stulecie”.

Warto podkreślić, że Krzysztof Michałek jest niezwykle skrupulatny i wręcz perfekcyjny w konstruowaniu poszczególnych rozdziałów pracy i ich objętości. Starannie dobiera i wyważa proporcje poszczególnych fragmentów, nasycając je niezbędną treścią. Autor niezwykle przejrzyście pokazuje życie polityczne, gospodarcze i społeczne USA oraz podstawowe zjawiska i tendencje dla poszczególnych okresów amerykańskiej historii. Interesująco i przekonująco obrazuje zmiany w życiu codziennym, modzie, obyczajach itd. W mistrzowski sposób operuje językiem, dzięki czemu pracę, skądinąd bardzo obszerną objętościowo i nasyconą ogromną faktografią, czyta się z zainteresowaniem i przyjemnością.

Znakomitym dopełnieniem jakże bogatego tekstu są aneksy w postaci map i świetnie dobranych fotografii. Ikonografia jest niewątpliwie dużą zasługą Autora, jak i wydawcy, doceniających jej znaczenie.

W recenzji z tak obszernego dzieła nie sposób odnieść się nawet do głównych problemów w nim omawianych, dlatego też pozwoliłam sobie na wybranie niektórych wątków.

Bardzo interesujący jest rozdział I, wprowadzający w epokę wiktoriańską i przemiany zachodzące w USA w dwóch dekadach XX w. Autor pokazuje ogromne zmiany demograficzne, jakie przechodziła Ameryka, jej szybką modernizację oraz narastającą koncentrację produkcji. Wzrost liczby ludności w tym czasie (z 92,4 mln w 1910 r. na 106,4 mln w 1920 r.) był w głównej mierze następstwem imigracji. Następowaly też procesy migracyjne z poszczególnych regionów (przemieszczenia z Południa na Północ i Środkowy Zachód, zwłaszcza ludności murzyńskiej) oraz do ośrodków miejskich. W rezultacie tych przemieszczeń w 1920 r. ludność miejska USA stanowiła już 51% (s. 13–14), po czym nastąpiła przyspieszona urbanizacja w latach 20. Bardzo szybko też, dzięki taśmie produkcyjnej i masowej produkcji Forda, Ameryka stawała się cywilizacją samochodową (w kolejnych rozdziałach do tego wątku Autor konsekwentnie powraca). A to spowodowało budowę dróg, rozwój lotnictwa, usług pocztowych, telefonii itd., całkowicie przeobrażając społeczeństwo i życie codzienne Amerykanów.

Rozdział IV dotyczy udziału USA w I wojnie światowej, a więc — jak zapowiada tytuł — krucjaty w obronie demokracji, nie tylko za granicą, ale także w kraju. W bardzo skondensowanej formie Autor przedstawił udział Amerykanów w tym konflikcie (s. 84–90), co ma rozległą światową literaturę przedmiotu, ale do dziś też budzi ożywione dyskusje. Zastanawiając się nad rolą USA i faktycznym ich wpływem na losy tej wojny podkreśla znaczenie „czynnika psychologicznego”, który miał, jego zdaniem, dużo większe znaczenie niż udział militarny Ameryki. Przez lata, zresztą nie tylko w historiografii amerykańskiej, ugruntowano przeświadczenie o szczególnej doniosłości udziału militarnego Amerykanów, co miało zadecydować o zwycięstwie państw Ententy. Podzielam opinię Autora, że „wartość bezpośredniego wkładu w działania frontowe nie była zbyt imponująca, gdyż w istocie ograniczyła się do walk w okresie od maja do listopada 1918 r.” (s. 89). Ale sam udział Amerykanów w tym konflikcie, jak i decyzjach konferencji paryskiej miał duży wpływ na powojenny światowy ład i sytuację międzynarodową.

Autor nie apologizuje prezydenta Woodrowa Wilsona ani jego „misji”, z którą przybył on do Europy w grudniu 1918 r. Wskazuje, że jego błędy, m.in. bezpośredni udział w konferencji paryskiej oraz niewłaściwy dobór jej amerykańskich uczestników, utrudniły potem, a w zasadzie uniemożliwiły, proces ratyfikacyjny traktatu wersalskiego. W bardzo skondensowanej formie, na kilku stronach (s. 90–94) omówił organizację powojennego ładu. Tematyka ta jest powszechnie znana i ma rozległą historiografię, a roli Wilsona na konferencji paryskiej, podjętych tam decyzjom oraz powołaniu Ligi Narodów poświęcono liczne monografie i rozprawy. Wizjonerskie, a dla wielu marzycielskie i zbyt idealistyczne, plany amerykańskiego prezydenta

nie zostały zrealizowane, a potem przez lata budziły niemałe dyskusje i wiele kontrowersji, także w Stanach Zjednoczonych.

Lata 1918–1920 cechował ogromny niepokój i obawy Amerykanów przed radykalizmem, komunizmem i anarchizmem, co niektórzy badacze traktowali zbyt pobieżnie i bez należytej uwagi. A dla samych Amerykanów były to trudne i niestabilne lata hysterii powojennej w postaci *Red Scare*, akcji policyjnych oraz „rajdów Palmera”, które napawały ich także niepokojem. Ten klimat sprzyjał rozmaitym uprzedzeniom i fobiom, co znalazło swój wyraz m.in. w ograniczeniach imigracyjnych, a także w szybkim rozwoju reaktywowanego w 1915 r. Ku–Klux–Klanu. W 1924 r. ta organizacja, z 2 milionami aktywnych członków i kilkakrotnie większą liczbą sympatyków, była na tyle silna i wpływowa, że obsadzała wiele ważnych stanowisk i wystawiała swoich kandydatów na najwyższe urzędy państwowe. Jej działacze występowali przeciwko Murzynom, radykałom politycznym i społecznym, Żydom, katolikom, imigrantom itd. (s. 131).

Warto wspomnieć, że nowe ustawodawstwo imigracyjne po I wojnie światowej (ustawy z 1921 r. i 1924 r.), wprowadzając system kwotowy, poważnie ograniczało napływ imigrantów. Dawało też możliwości znacznych manipulacji, a przede wszystkim faktycznych ograniczeń napływu niepożądanych grup narodowościowych. Konstatacja Autora może być szokująca, ale to fakt, że imigracja w tym czasie „powróciła swoimi rozmiarami do stanu sprzed stu lat” (s. 144).

W kolejnym rozdziale Autor zajmuje się powrotem do „normalności” i obiektywnie przedstawia administrację Warrena G. Hardinga, który nie zawsze miał takie szczęście, jeśli chodzi o oceny jego urzędowania przez ówczesnych rodaków, także historyków. Przez lata w rodzimej historiografii był na swój sposób postponowany i raczej krytycznie oceniany, zwłaszcza ze względu na afery korupcyjne, w które byli zamieszani członkowie jego gabinetu. Jest to problem bardziej złożony i wymagający ostrożności w ferowaniu sądów, tym bardziej że narosło wiele legend na temat tajemniczej śmierci prezydenta Hardinga.

Bardzo ciekawie, rzeczowo i syntetycznie pokazane są legendarne lata 20. — amerykańskiej prosperity, boomu i dobrobytu, które Autor nazwał „dekadą przełomu cywilizacyjnego”. Przytoczone dane (s. 101) znakomicie obrazują, utrwalone skądinąd wyobrażenie, o cywilizacji samochodowej. Błyskawiczny rozwój przemysłu samochodowego i wzrost posiadanych aut w latach 20. spowodował też szybki rozwój motoryzacji, budowę nowych dróg, a w następstwie przeobrażenia krajobrazu miejskiego. W 1929 r. 56% amerykańskich rodzin posiadało samochód, co zupełnie zmieniało organizację i styl ich życia. Na co dzień królował konsumeryzm, a przeciętna amerykańska rodzina z upodobaniem nabywała kolejne lodówki, pralki, odkurzacze, tostery i inne urządzenia elektryczne, polepszając w ten sposób standard i wygodę życia. Ten model dostatniego i komfortowego życia Amerykanów stanie się obiektem marzeń milionów Europejczyków (i nie tylko), potencjalnych emigrantów spragnionych wyjazdów do kraju uznanego, zwłaszcza do czasu kryzysu gospodarczego, za prawdziwe Eldorado. To właśnie wtedy Amerykanie stają się społeczeństwem konsumpcyjnym żyjącym na kredyt. Pod koniec lat 20. korzystali oni w ogromnej mierze z kredytu konsumpcyjnego. Ten wątek, a więc wzrastająca konsumpcję rozmaitych dóbr, sterowaną z czasem przez wszechogarniającą reklamę, Autor konsekwentnie prezentuje w kolejnych dekadach, pokazując to w dłuższej perspektywie.

Po II wojnie światowej nastąpił „powrót *American dream*”, czemu poświęcony jest rozdział XI pracy (s. 231–260). Autor — odwołując się do ogromnej liczby danych — pokazuje nie tylko sytuację gospodarki powojennej, ale i przemiany społeczeństwa konsumpcyjnego, z prawdziwą rewolucją telewizyjną i komputerową (w 1945 r. Amerykanie posiadali 6 tys. odbiorników telewizyjnych, w 1948 r. już 325 tys., a dwa lata potem — aż 3,8 mln). Píše też o problemach amerykańskiego rolnictwa i kłopotach farmerów, którzy, mimo wzrostu produkcji, nie zawsze zwiększali dochody. Powodowało to swoisty paradoks, zwiększano bowiem subsydia federalne dla

farmerów, które urastały do ogromnych sum, np. w 1950 r. dopłaty do cen orzeszków ziemnych przekraczały prawie trzykrotnie wydatki na... program rakiet sterowanych dla armii (s. 240).

Sprawom ludności murzyńskiej, indiańskiej oraz uciskanym grupom imigranckim, a także kobietom Autor poświęca należną uwagę i to bynajmniej nie z powodu „politycznej poprawności”. Mam wrażenie, że prawie z aptekarską dokładnością w kolejnych rozdziałach zajmuje się tymi zagadnieniami, którym poświęca stosownie wiele miejsca. Po I wojnie światowej doszło do poważnych przemian w położeniu kobiet, a uzyskanie przez nie w 1920 r. praw wyborczych dało im szansę na znacznie większą aktywność publiczną. Wiele z nich umiejętnie z tego skorzystało, choć próby zmian Konstytucji w 1923 r., które miały zagwarantować im równouprawnienie, nie okazały się owocne. Do spraw kobiet i zmianom ich społecznej pozycji Autor powraca konsekwentnie w kolejnych partiach pracy (s. 45, 83 i in.).

W przejrzysty sposób Michałek pokazał narastanie zjawisk kryzysowych w amerykańskiej gospodarce i światowy kryzys gospodarczy, który do dziś pozostaje jednym z najbardziej traumatycznym doświadczeń milionów amerykańskich rodzin. Jak czytamy, to właśnie wtedy: „Złamana została powszechna wiara w wyjątkowość Stanów Zjednoczonych i systemu amerykańskiego, a przecież towarzyszyła ona zarówno Ojcom Założycielom w XVIII w., jak i milionom Amerykanów przesuającym granice owego państwa na południe i zachód kontynentu w XIX w. Jeśli w XIX w. Amerykanie wierzyli, że realizują «Boskie Przeznaczenie» (Manifest Destiny), a później, że «ratują demokrację» europejską w czasie I wojny światowej, to doświadczenia z lat 1929–41 pozbawiły ich owego poczucia wyjątkowości i misji” (s. 155–156).

Były to bardzo trudne lata, także dla kolejnych mieszkańców Białego Domu — Herberta C. Hoovera i Franklina D. Roosevelta, którym przyszło się zmagać z tym o niespotykanych wcześniej rozmiarach kryzysem gospodarczym. Autor stara się być obiektywny przy ocenie obu prezydentów, pokazując paradoksy tych jakże różnych osobowości. Nie popada w stronniczość i okazywanie sympatii bądź antypatii któremuś z nich (co jest widoczne w większości prac amerykańskich historyków do dziś), lecz omawia kolejne poczynania antykryzysowe obu administracji. Warto podkreślić, że to Hoover zapoczątkował interwencjonizm w walce z kryzysem, choć miał poważne obiekcje doktrynalne i zrobił to późno, a i skala działań była niewystarczająca. Jego następcą w Białym Domu poszedł znacznie dalej i robił to z wielkim rozmachem oraz zaangażowaniem. Michałek prezentuje ogrom przedsięwzięć Roosevelta w pierwszej fazie „new dealu” (s. 164–171) i drugiej (s. 172–182), podając szczegółowe dane o ich rozmiarach, kosztach federalnych itp. W amerykańskiej historiografii do dziś nie wygasł spór o ocenę i bilans polityki Roosevelta w walce z kryzysem gospodarczym. Wielu badaczy, i to nie tylko spośród jego zagorzałych antagonistów dezawuuujących jego sukcesy, twierdzi, że tak naprawdę to dopiero zaangażowanie się USA w II wojnę światową wyprowadziło kraj z kryzysu gospodarczego.

O dokonaniach i bilansie Roosevelta wymownie świadczy tytuł jednego z podrozdziałów *Wyjątkowa pozycja FDR w amerykańskiej historii*. I nie ma powodów, by w to wątpić czy podważać. Bezprecedensowe czterokrotne zwycięstwa wyborcze Roosevelta zapewniły mu niezwykle i trwałe miejsce w panteonie ojczyistych dziejów. Jego 12 lat w Białym Domu, ogrom przedsięwzięć antykryzysowych, a potem udział w II wojnie światowej, mimo też ocen krytycznych, ugruntowały z czasem szczególnie miejsce tego polityka w amerykańskiej historii, i nie tylko (ale to osobny temat). W ocenach kolejnych pokoleń rodaków oraz badaczy, znajduje się on wciąż w czołówce najwybitniejszych amerykańskich prezydentów.

Amerykańskiej polityce zagranicznej w poszczególnych dekadach Autor poświęcił także sporo uwagi. Po I wojnie światowej tak naprawdę nie był już możliwy powrót do izolacji, choć USA nie ratyfikowały traktatu wersalskiego ani nie przystąpiły do członkostwa w Lidze Naro-

dów, której inicjatorem był Woodrow Wilson. Michałek podtrzymuje opinię, ugruntowaną w zasadzie od lat w światowej historiografii, że amerykańską politykę w tym czasie można określić jako „niezależny internacjonalizm” czy też „zaangażowanie”. Zresztą „doktrynalny izolacjonizm” zderzył się z realiami i przegrał, po I wojnie światowej nastąpiła bowiem ogromna ekspansja gospodarczo-finansowa USA.

Może zbyt tradycyjnie i zdawkowo Autor potraktował politykę zagraniczną Hoovera wobec państw latynoskich, a zwłaszcza jego podróż do krajów Ameryki Łacińskiej. Chyba nie doceniał jego roli w dziele budowania lepszych relacji z krajami latynoamerykańskimi, a więc i polityki wobec tego regionu, której poświęcał on sam, sekretarz stanu Henry Stimson i administracja republikanów wiele uwagi. Nawet dobrosąsiedzką podróż Hoovera (*the good neighbour visit*) tak naprawdę spożytkował niedługo potem jego następcą, do którego znakomicie przylgnęło spopularyzowane określenie o polityce dobrosąsiedzkiej. Warto pamiętać, że Roosevelt był faktycznie znakomitym mówcą, operującym mistrzowsko sloganami i technikami propagandowymi, co potrafił wykorzystywać w polityce, jak również w kreowaniu swego wizerunku.

Skrótowno, ale klarownie pokazany jest początek konfliktu z Japonią i zaangażowania się USA w II wojnę światową po zbombardowaniu 7 XII 1941 r. przez japońskie lotnictwo bazy amerykańskiej marynarki w Pearl Harbor na Hawajach (s. 200–202). Autor nie pisze, czy była to „prowokacja” Roosevelta, co tak chętnie podejmują Amerykanie oskarżający nie tylko prezydenta, ale w ogóle demokratów za ówczesną politykę. Późniejsza histeria antyjapońska, zwłaszcza na Zachodnim Wybrzeżu, i relokacja do 10 obozów odosobnienia — jak potem wyliczono — blisko 120 tys. amerykańskich Japończyków do dziś pozostaje nie do końca wyjaśnioną i kontrowersyjną kwestią. Był to bowiem bezprecedensowy, na tak szeroką skalę, przypadek naruszenia praw obywatelskich w USA. W ówczesnych wojennych warunkach skorzystano z dogodnej motywacji („wróg wewnętrzny”), a potem ukrywano to skrzętnie przed opinią publiczną. Przez kilka powojennych dekad w amerykańskich podręcznikach nie było nawet wzmianek o tych przymusowych wysiedleniach ludności japońskiej. Dopiero sądowe domaganie się odszkodowań rodzin poddanych tym praktykom oraz debaty kongresowe nagłośniły kwestię, a w rezultacie spowodowały, że miliony Amerykanów w ogóle dowiedziały się o tym procederze. Nawiasem mówiąc, jeszcze do niedawna (o czym też mogłam się przekonać osobiście podczas swoich pobytów w USA i rozmów z historykami) niechętnie o tym pisano, ale i tu z upływem czasu dokonano rozliczeń z przeszłością, do czego przydatna okazała się też „polityczna poprawność”.

II wojna światowa była faktycznie wojną globalną, co przekonująco przedstawił Autor w kolejnych fragmentach pracy. Wysiłek wojenny USA i ogrom przedsięwzięć federalnych oraz zaangażowanie milionów Amerykanów, uczyniło z kraju „arsenał demokracji”, a ich udział w konflikcie stał się faktyczną „krucjatą w obronie wolności i demokracji” dla kraju i świata. Pod koniec wojny, dzięki niezwykłemu wysiłkowi mobilizacyjnemu, w którym był zaangażowany cały naród, Amerykanie dysponowali ogromnym potencjałem wojennym i największą armią świata (10,4 mln żołnierzy). Autor pokazuje wielką aktywność i udział Amerykanek nie tylko na tzw. froncie wewnętrznym, ale i w siłach zbrojnych (korpusy kobiece liczyły ok. 350 tys., podczas gdy w I wojnie tylko 11 tys. Amerykanek służyło w armii). Zresztą nie idealizuje ich powodów i pisze tak (s. 207): „Historycy w różny sposób odpowiadają na pytanie o motywacje kobiet przywdziewających mundury. Podkreśla się, że początkowo czyniły to z pobudek patriotycznych, a w kolejnych latach wojny już z bardziej prozaicznych powodów — chęci odebrania się od szarej codzienności, wykorzystania szans edukacyjnych stwarzanych przez armię, wreszcie z pobudek czysto osobistych (np. idąc w ślady swoich mężów, służących od dłuższego

czasu w wojsku)". Po wojnie pojawił się zatem nowy problem — powrót Amerykanek do „domowego zacisza” i przedwojennych ról, co nie wszystkim odpowiadało.

Bardzo ciekawie pokazał Autor przemiany w życiu rodzinnym i społecznym Amerykanów po II wojnie światowej, a więc erozję modelu tradycyjnego — z rosnącą liczbą kobiet pracujących, związków pozamałżeńskich i dzieci niesłubnych itd. Wskazywał też na liczne problemy szkolnictwa amerykańskiego, związane w dużym stopniu z „boomem dziecięcym” — a więc niedobór szkół, przepełnienie istniejących, brak wystarczającej kadry nauczycieli oraz ich słabe przygotowanie, nieznajomość języków obcych itd. W tym czasie też nastąpił gwałtowny rozwój szkolnictwa wyższego. Realizacja G. I. Bill z 1944 r. (który dawał różne, zwłaszcza edukacyjne, przywileje weteranom) z kolei powodowała wzrost zainteresowania nauką wśród weteranów, którzy widzieli w tym możliwość awansu. Jak pisze Autor (s. 247): „W ten sposób G. I. Bill mimo woli przyczynił się do demokratyzacji szkolnictwa wyższego, które przestało być traktowane jako enklawa elit intelektualnych, politycznych i gospodarczych, ale jako instrument służący całemu społeczeństwu lub przynajmniej większej jego części”.

Powojenna histeria antykomunistyczna, niezwykła kariera sen. Josepha McCarthy’ego, szpiegomania, i rozmaite procesy (m.in. Algera Hissa i małżeństwa Rosenbergów) mają rozległą literaturę przedmiotu. Ale było to zjawisko masowe, obejmujące miliony Amerykanów i wpływające na życie narodu i państwa. O rozmiarze tych fobii świadczy m.in. fakt, że — zgodnie z rozporządzeniem Trumana z 1947 r. — 4,7 mln pracowników państwowych (a więc nie tylko pełniących ważne kierownicze stanowiska, ale też np. telefonistki, sekretarki) poddano przeglądowi pod kątem ich lojalności wobec państwa (s. 273). Po kilku latach tej wszechogarniającej histerii i demagogii (podejrzenia padały pod adresem pracowników Departamentu Stanu i innych agend rządowych, osób związanych z rządem, nawet wdowy po prezydencie, Eleanor Roosevelt! — H. P.) w maju 1953 r. nastąpiła faktyczna śmierć polityczna McCarthy’ego, którą miliony Amerykanów przyjęły z ogromną ulgą.

W wielu miejscach Autor pokazuje wyścig technologiczny i propagandowy radziecko–amerykański. „Wyzwanie sputnikowe” radzieckie z 1957 r., lot w kosmos Jurija Gagarina 12 IV 1961 r., a miesiąc potem Alana B. Sheparda, jak również seria lotów załogowych oraz pierwsze lądowanie Amerykanów na księżycu (20 VII 1969 r.) były tego przejawami. Autor przywołuje liczne dane świadczące, że nie tylko podbój kosmosu, ale nawet sport i igrzyska olimpijskie zostały zdominowane przez politykę, bowiem i na tym polu odbywała się rywalizacja pomiędzy Amerykanami a Rosjanami. Wyścig o medale olimpijskie był zarazem walką polityczno–ideologiczną wrogich sobie państw i obozów (s. 259, 451, 532 i in.).

Z dzisiejszej perspektywy znacznie nam łatwiej oceniać prezydenturę Harry’ego S. Trumana, który — choć nie dawano mu większych szans — znakomicie sprawdził się jako prezydent. Ten „prowincjusz z Missouri”, jak o nim mówili bynajmniej nie tylko mu nieprzychylni czy jego wrogowie, objął urządowanie 12 IV 1945 r. natychmiast po śmierci prezydenta Roosevelta. Zaczynał więc rządy w bardzo trudnych okolicznościach zupełnie do tego nieprzygotowany, pod koniec wojny i doświadczeniach „new dealu”, co ostro atakowali republikanie. Ale „fair deal” Trumana ugruntował z czasem jego pozycję polityczną i trudno mu doprawdy odmówić zdecydowania w podejmowaniu własnych decyzji (nieraz zresztą kontrowersyjnych i niekoniecznie akceptowanych nawet przez współpracowników i kolegów partyjnych). Badacze w przyszłości nie będą wątpić w jego cechy przywódcze, a niektórzy będą pisać nawet o „imperialnej prezydenturze” i jego „zapędach dyktatorskich”, m.in. w związku z wojną w Korei, o której potem — jak słusznie zauważa Autor — Amerykanie chcieli zapomnieć jak najprędzej (s. 318).

Polityce zagranicznej Johna F. Kennedy’ego poświęcił Autor sporo uwagi, zwłaszcza kryzysowi berlińskiemu oraz kryzysowi kubańskiemu i raketowemu, kiedy to — jak opisywali nie

tylko dziennikarze — świat znalazł się „na krawędzi wojny”. Pokazuje też nowe instrumenty amerykańskiej polityki wobec państw Trzeciego Świata, a zwłaszcza Peace Corps, które z czasem poszerzą swój zakres oddziaływania i odegrają ważną rolę w kolejnych dziesięcioleciach. To ważne i chyba nie wystarczająco wszechstronnie wyjaśnione przez badaczy zagadnienie w amerykańskiej polityce zagranicznej. Sympatycznie też pisze o małżeństwie Kennedych, które miało, zwłaszcza małżonka Jacqueline, stymulujący wpływ na rozwój sztuk pięknych. Biały Dom, zgodnie z marzeniami i planami *first lady*, miał się stać centrum kultury. Podjęła ona ambitny program jego restauracji i wyposażenia w historyczne pamiątki oraz antyki, co spotkało się z życzliwym odzewem rzeszy Amerykanów, śpieszącej z darowiznami i finansową pomocą przy wsparciu tego projektu. Prezydentowa też zapraszała do Białego Domu ważne osobistości świata kultury, starając się nadać tym wizytom specjalną oprawę, znaczenie i wydźwięk. I choć nie do końca udało się jej ten zamiar zrealizować, faktem jest, że tak ją zapamiętano i nieprzy-  
padkowo nazywano „ministrem” czy też „ambasadorem kultury” w latach Camelotu.

Zabójstwo Kennedy’ego do dziś budzi ożywione dyskusje i kontrowersje, nie tylko zresztą w Ameryce. Niezależnie od podejmowanych nowych dochodzeń nie zostało jeszcze w pełni wyjaśnione i pewnie to jeszcze trochę potrwa, choćby ze względu na karencję niektórych źródeł. Odżywające coraz to nowe wersje śmierci prezydenta, zwłaszcza rozmaite teorie spiskowe, potęgują jedynie — i tu też w pełni zgadzam się z Autorem (s. 378) — legendę polityczną Kennedy’ego w szerokich kręgach opinii publicznej. A na nią wciąż jest widoczne duże zapotrzebowanie.

Konfliktowi wietnamskiemu i jego kolejnym etapom poświęcił Autor dużo więcej miejsca. Pokazał przede wszystkim wzrastające zaangażowanie amerykańskich misji, ekspertów wojskowych, potem sprzętu i pomoc finansową, zwalczanie Wietkongu, nasilone bombardowania i użycie broni chemicznej itd. Z drugiej strony narastał w tym samym czasie opór społeczeństwa przeciwko tej niezrozumiałej i niepotrzebnej wojnie, zwłaszcza że zwiększały się straty amerykańskie, co zawsze budziło największy sprzeciw. W 1967 r. 14,5 tys. straciło tam życie, a do końca konfliktu liczba ta wzrosła do około 58,1 tys. Opozycja przeciwko „wojnie Johnsona” pod koniec lat 60. znalazła ogromny odzew społeczny, zwłaszcza wśród młodzieży studiującej. W szczytowym momencie, wiosną 1970 r., aż w 448 kampusach studenckich doszło do strajków i burzliwych demonstracji. Nasilenie ruchu pacyfistycznego i zwycięstwo wyborcze Richarda M. Nixona przyniosło w rezultacie „wietnamizację wojny” i w końcu jej zakończenie — zgodnie z założeniami prezydenta — „do pokoju przez eskalację wojny” (s. 357, 416–422, 490–493). Do dziś ta przegrana przez USA wojna, z jej „syndromem wietnamskim”, jest wciąż bolesną raną dla Amerykanów, o czym świadczą rozliczne prace i filmy rozliczeniowe, a także pomnik w centrum Waszyngtonu, upamiętniający poległych w Wietnamie, tłumnie odwiedzany przez rodaków i turystów.

W latach 60. dały o sobie znać ze zdwojoną siłą nierozwiązane problemy społeczne, a zwłaszcza dyskryminacja Murzynów. Walka z segregacją rasową, którą podjął Kennedy, zdominowały w dużej mierze też poczynania Lyndona B. Johnsona. Doszło także w tym czasie do wielkiej kontestacji obyczajowej, która była bardzo nagłośniona nie tylko w kraju, ale i za granicą. Rewolucja seksualna, ruch hippisów, festiwal w Woodstock do dziś wspominają ich uczestnicy z rozrzewnieniem, choć większość z nich odeszła dawno od swoich przekonań i upodobań, zasilając nierzadko kręgi... konserwatystów, a nawet działaczy religijnych.

W pracy Michałka sporo jest ważnych fragmentów i uwag o kobietach i sprawie kobiecej w czasach wielkiej kontestacji w latach 60. Sam Autor przytacza (s. 360) — można by powiedzieć — ciekawostkę, ale jakże wymowną, że do 1969 r. dziewczęta nie mogły chodzić do szkoły w spodniach (! — H. P.). Różnorodnych ograniczeń i rygorów było znacznie więcej, zwłaszcza

w niektórych stanach i regionach. Może warto o tym pamiętać, gdy się patrzy na burzliwą kontestację, palenie biustonoszy i radykalny feminizm amerykański — niezrozumiały dla wielu, a dla innych służył jako inspiracja aktywności.

Raport Prezydenckiej Komisji do Zbadania Statusu Kobiet, powołanej prawie dwa lata wcześniej przez Kennedy'ego, a opublikowany w październiku 1963 r., wskazywał na potrzebę zmian prawnych, które zapewniłyby równe traktowanie kobiet i mężczyzn. Ale prawdziwą sensację wywołała Betty Friedan i jej książka *The Feminine Mystique*, Nowy Jork 1963, będąca swoistym manifestem ruchu kobiecego. Autorka zachęcała kobiety do zrywania z tradycyjnymi rolami „żony i matki” i pełnej realizacji w życiu zawodowym i publicznym. Powołana w kilka lat potem (w 1966 r.) Krajowa Organizacja Kobiet (*National Organization for Women, NOW*) podjęła walkę o „wyzwolenie” kobiet z dotychczasowych ról społecznych i ich pełne równouprawnienie. W kolejnych latach organizacja zabiegała o uchwalenie konstytucyjnej poprawki o równości praw (*Equal Rights Amendment, ERA*), co przyniosło połowiczny sukces. Projekt poprawki przyjęto w Kongresie, ale proces ratyfikacyjny przez poszczególne stany znacznie się przedłużył. W 1982 r. brakowało wciąż ratyfikacji trzech stanów, przez co nigdy nie weszła ona w życie. Nieratyfikowanie ERA było porażką ruchu feministycznego, który próbował to jakoś rekompensować, odnosząc pewne sukcesy m.in. w sprawie znoszenia barier prawnych w dostępie do różnych zawodów i stanowisk, także tzw. męskich. Dopuszczono więc kobiety do wysokich stanowisk w wojsku (w 1970 r. dwie kobiety były w stopniu generałów), pracy w FBI czy na funkcje pastorów, a nawet w rabinów (s. 390–392, 475–476). Z czasem ewolucji uległy postawy samych kobiet, odchodzące od radykalnego feminizmu i lansujące model kobiety sukcesu w biznesie, nauce czy polityce (przykład Geraldine Ferraro, kandydatki na stanowisko wiceprezydenta). Kolejne dekady przyniosły na tym polu daleko idące zmiany i dzisiaj kobiety zajmują wiele znaczących, także wybieralnych stanowisk — gubernatorowych, członkiń Izby Reprezentantów, Senatu itp. Poważnie rozważa się też kandydatury kobiet do rozmaitych ważnych i najwyższych stanowisk państwowych. Przykład niedawnej prezydentowej Hillary Clinton, która została senatorem ze stanu Nowy Jork i sprawuje ten urząd po odejściu z Białego Domu, jest budującym i inspirującym modelem dla wielu Amerykanek. Jej nazwisko pojawia się jako poważna kandydatura demokratów na przyszłego prezydenta USA.

Książka Krzysztofa Michałka pokazuje kompleksowy i prawdziwy obraz Stanów Zjednoczonych, ich polityki wewnętrznej i zagranicznej. Daje wieloaspektowy i wszechstronny ogłęd Ameryki i Amerykanów z jej kontrastami — podczas gdy jedni pławili się w luksusie, podbijali kosmos i osiągnęli niezliczone sukcesy i rekordy, miliony innych rodaków żyło w ubóstwie i zacołaniu, zasilając szeregi bezrobotnych, bezdomnych, narkomanów, przestępców, a przede wszystkim analfabetów (w 1975 r. było ich 20 mln, a więc jedna piąta dorosłych Amerykanów, s. 438). Z problemem wtórnego analfabetyzmu borykają się do dziś, choć skala zjawiska uległa zmniejszeniu.

Sporo uwagi poświęca Autor życiu religijnemu Amerykanów, pokazując pewne tendencje i charakterystyczne cechy, które dawały o sobie znać w poszczególnych dekadach. Swego rodzaju fenomenem amerykańskim, w ramach protestanckiego fundamentalizmu, stali się ewangeliccy telewizyjni, których liczba gwałtownie wzrosła z 25 w 1978 r. do 336 w 1989 r. Ze swoimi audycjami telewizyjnymi docierali oni do ok. 60 mln Amerykanów, których hojność finansowa pozwoliła im tworzyć ogromne przedsiębiorstwa religijno-edukacyjno-rozrywkowe. Jerry Falwell, Jimmy Swaggart czy Jim Bakker stworzyli swego rodzaju imperia i nawet towarzyszące im liczne skandale obyczajowe i finansowe nie położyły kresu ich rozległej działalności (s. 520–521).

Po burzliwych latach 60. i aferach politycznych w latach 70. (zwłaszcza Watergate) Ameryka powoli budowała i przywracała zaufanie do własnych instytucji. Wybory prezydenckie 1980 r. i zwycięstwo „nieznanego” Jimmy’ego Cartera otworzyły nowy etap w amerykańskich dziejach. Ale pojawiły się też nowe problemy i niepokoje Amerykanów w latach 80., m.in. związane z inżynierią genetyczną, zagrożeniem AIDS, narkomanią, a ostatnio też terroryzmem, które zdominowały nie tylko życie polityczne, ale i codzienne Amerykanów.

Interesująco i wnikliwie przedstawił Autor prezydenturę Ronalda Reagana, jak również Billa Clintona, choć pisanie o tak nieodległych czasach i sprawach nie jest rzeczą prostą. Republikańscy apologety jeszcze za życia Reagana rozpoczęli budowę jego wielkiej legendy. Wydanie banknotu 10-dolarowego z jego wizerunkiem, nadanie lotniskowcowi jego imienia, także lotnisku w Waszyngtonie (co zresztą wywołało ogólnokrajową dyskusję), a potem liczne publikacje budowały i utrzymywały pozytywny wizerunek prezydenta i jego polityki (s. 559). Niedawna śmierć schorowanego od lat prezydenta i pogrzeb, który się odbył z wielkimi honorami w Simi Valley w Kalifornii, gdzie znajduje się Biblioteka Prezydencka jego imienia, przywołał w mediach amerykańskich ciepły wizerunek jego prezydentury.

Praca jest starannie opracowana redakcyjnie, choć zakradło się do niej trochę literówek, zwłaszcza w pisowni nazwisk, które warto zlikwidować przy kolejnym wydaniu. Niejako z obowiązku recenzenckiego odnotujmy kilka przykładów — na s. 122 powinno być Daugherty (a nie Daughtery), s. 166 Johnson (a nie Johnston), s. 291 Eleanor (a nie Eleanore), s. 393 Muskie (a nie Musky), s. 536 Haigh (a nie Haig), s. 112 macierzyństwo (a nie macieżyństwo). Gwoli ścisłości Franklin Delano Roosevelt drugi raz został gubernatorem w 1930 r., a nie w 1932 r., bo wtedy już wygrał wybory prezydenckie (s. 164).

Autor równie interesująco i kompetentnie pisze o wielkiej światowej polityce, działaniach wojennych, planach użycia bomby atomowej, jak i przemianach w życiu codziennym Amerykanów, obyczajach, modzie, sporcie oraz kulturze. Jest to niezwykle dojrzała praca erudycyjna, operująca interesującymi danymi, które najlepiej mówią o rzeczywistości amerykańskiej, o jej sukcesach i wielkich osiągnięciach, jak również o problemach i kłopotach, zwłaszcza w polityce wewnętrznej, które dawały i dają o sobie znać. Z faktami historyk nie dyskutuje.

Otrzymaliśmy więc bardzo obszerną i wielowątkową pracę Krzysztofa Michałka, który wykazał się ogromną wiedzą i erudycją. Zebrany materiał poddał on gruntownej analizie i uporządkowaniu, co znakomicie świadczy również o sprawności warsztatowej. Książka o „amerykańskim stuleciu”, będąca efektem wieloletniej pracy autora, jest niewątpliwie jego wielkim osiągnięciem naukowym zasługującym na uważną lekturę. Z pewnością sięgną po nią nie tylko profesjonaliści, ale i szerokie rzesze czytelników zainteresowanych historią Stanów Zjednoczonych w XX wieku.